**Ner 3.** Kraków 1 lutego 1869. **Rok III.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

**Rubryki stałe:** Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

# KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd z opisami dołącza się każdego 1go.

**Ekspedycyja** dla miasta Krakowa: w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński.

**Listy** należy adresować: „do Administracyi Kaliny — w Krakowie.



## O powieści i powieściopisarzach

przez

*Lucyana Tomasza Rycharskiego.*

(Dokończenie.)

V.

Po przedstawieniu historycznego rozwoju romansu za granicą i w kraju, po wykazaniu jego potęgi i potrzeby w naszym wieku, chcąc być bezstronnym, należy mi w końcu zwrócić uwagę czytelników na ujemne strony romansu *). Chcę tu mówić o romansach ze skrzywionemi tendencjami, chorobliwemi pojęciami, a do tego z namiętnym, fantastycznym, uczuciowym kolorytem.

Nie jest to rzeczą tak łatwą poznać w całéj obszerności ów romans. Po długiéj stracie czasu, poświęconego na zwiedzenie téj niezmiernéj pustyni, kiedy ją zobaczysz tak rozległą a nieżyzną, iskry dowcipu, poezyi, rozumu — zgubione w przestrzeniach piasku, kiedy często na dnie cztérech tomów, lub co gorzéj sześciu, znajdziesz jedną myśl, a niekiedy żadnéj, a w miejsce myśli dojrzałéj lub szlachetnych uczuć, pstrokate marzenia, z jakimże żalem i niechęcią porzucasz tę pracę! Jakże to często młody czytelnik lub czytelniczka, jeśli miłość użytecznéj pracy, uczucie powinności i zamiłowanie prawdy nie zagrzewa go i nie przewodniczy jego rozumowi, zbłąka się na zawsze w téj pustyni i na zawsze zostanie w tym fantastycznym świecie pstrokatych marzeń. — To niezmierne rozlanie się rzeczonego romansu leży naprzód w samej naturze towarzystwa, a następnie w formie saméj romansu. Towarzystwo teraźniejsze zawiera w sobie tyle klas próżnujących, tyle kobiet wyzwolonych z jarzma domowych obowiązków, tyle indywiduów przeznaczonych na domowe życie, niezajętych trudami publicznemi, przymuszonych w łonie zacisza domowego szukać swoich uciech i rozrywek. Przemysł, który z prac umysłu robi artykuł handlu i stosuje je jako towar do smaku kupującego, chwycił sposobność dogodzenia potrzebom tych klas i indywiduów i rzucił im na pastwę namiętny romans. — Żaden utwór sztuki nie ma tyle swobody, co romans. Mieści on w sobie wszystko, cokolwiek podoba się myśli i fantazyi w niego wrzucić. Przyjmuje w siebie prawdę, allegoryę, marzenia, poezyę, prozę, niedojrzałe zielone rozumowanie, niestrawiony dorywczy sąd, tragiczną scenę, krotochwilny szkic, malowidło natury i rysunek starego kapelusza, krytyczne spostrzeżenia i użyteczne prawdy. Przez swoją więc niepodległą formę stał się niezmiernie dogodnym dla pisarzy, którzy obserwują już to serce ludzkie, już téż zakulisowe życie społeczeństwa — dla malarzy w słowach, którzy kopiują, idealizują, przedrzeźniają toż społeczeństwo — ale nadewszystko dla tych, którzy nie mając dość siły wewnętrznéj do jednoczenia władz swego umysłu, pozwalają im rozpierzchać się w rozwlekłéj rozmaitości — dla tych powierzchownych głów, które żadnéj myśli nie wyrobiły pracowicie; nareszcie dla niektórych ludzi obojętnych o dobro publiczne, którzy mieli odwagę nagiąć swoją myśl do téj formy ulubionéj i stósownéj do życia niektórych klas i osób, aby za jéj pośrednictwem ze słowem pychy i fałszu przystęp do nich uzyskać. — Rzućmy teraz okiem na wpływ moralny, jaki romans taki wywierać musi na społeczeństwo.

Przez swoją rozmaitość, lekkość, kameleonową zmienność, ma nieskończony powab dla wszystkich chciwych mody, rozrywek i nowości, niepodległych i bezczynnych indywiduów. Przez swą sentymentalną czyli serdeczną i uczuciową stronę dla kobiety, co prawie wyłącznie żyje sercem i wyobraźnią. Nareszcie przez swoje powierzchowne rysunki świata i życia, brzmienie wielkich imion, ślizganie się po powierzchni wszystkich prawd i idei porzucających ludzkość, musi być nieskończony powab dla młodzieńca chciwego wzruszeń, ciekawego świata i kobiety, pragnącego ogarnąć całą wiedzę ludzką jednym rzutem oka, drżącego na głos wielkich imion. W ich to więc ręku najwięcéj znajduje się romans — zobaczmy, z jakim skutkiem.

Pozostawmy go bez narzekania w ręku ludzi bezczynnych, niepodległych w czasie i fortunie, którzy je-

*) Przeciw romansowi wystąpił raz dość namiętnie jeden z naszych pisarzy w „Bibliotece Warszawskiéj"; zgromił go późniéj Kraszewski. Mimo to pisarz ten dużo bardzo trafnych rozwinął myśli, które tu dla uzupełnienia artykułu w wyjątkach przytaczam.

dno i drugie ciskają bez namysłu za uciechy i słodycze życia, wysilają myśl, aby w nich największą znaleść rozmaitość, dla których życie nie jest wielkiém i pracowitém zadaniem, z jakiego w pocie czoła wywięzuje się człowiek sumienny. Przez nich to romans stał się tak korzystném rzemiosłem. W ich ręku jest on wyższą nieco zabawką, niż może wiele innych, któremiby go zastąpili. Jeżeli płytkie zdanie, nikczemne sofizma, fałszywe obrazy zarażają łatwo ich umysł, to za to natrafiwszy kiedyś wśród tłumu na romans moralny i cnotliwy, na nauczający obraz społeczeństwa, jeśli szukając tylko rozrywki, znajdą i przyswoją sobie jedną myśl użyteczną, jedno uczucie szlachetne, będzie to już ważnym dla nich zarobkiem. — Inaczéj ma się rzecz z kobietami. Przez przyzwolenia powszechne, wypływające z postępującego ducha czasu, kobiety przekształciły w ostatnich czasach tryb wychowania, życia domowego i towarzyskiego, jednèm słowem zatrudnienia, obowiązki, prawa. Przeszły w pewien rodzaj usamowolnienia, wiodący za sobą rozliczne skutki. Zyskały wiele praw, pozbyły się wielu obowiązków. Panie swojego serca, swojego czasu, swoich zdolności, swego majątku ulżyły ciężarów domowych, zaczęły żyć dla siebie. Podbiwszy więc sobie niepodległość, kobiety zaczęły pisać i czytać coraz więcéj — rzucono się do pisania dla nich. Musiało to sprowadzić pewną zmianę w piśmiennictwie, na którém wszystkie wypadki i odmiany towarzyskie zostawiają zawsze mniéj więcéj widoczne ślady. Jakoż przeniosły kobiety w literaturę tegoczesną ślady ich umysłu przyjemnego i łatwego, bez głębokości i siły; uczuć tkliwych, tłumiących częstokroć rozumowanie; wyobraźni ruchoméj, porywającéj je na pole poezyi prawie mimowolnie; wychowania niezupełnego i powierzchownego; nareszcie trybu życia napełnionego drobnostkami i wrodzonéj szczebiotliwości. Romans przez swą naturę stał się ulubioną dla nich formą, w którą mogły wszystkie swoje myśli, marzenia, uczucia z wszystkiemi drobnostkami, z całą samowolnością i z całą gadatliwością przelewać. Stał się niemniéj i ulubioną ich czytelnią.

Dla kobiety bezczynnéj, niepodległéj, z sercem zimném i wyobraźnią pospolitą, romans, o którym mowa, jest słodkiém próżniactwem, *dolce far niente*, oprócz zabicia czasu, który i tak byłby stracony nie mający innych złych skutków. Z miękkiéj sofy może spoglądać na całą fantasmagoryę świata, na ludzi, obrazy, wypadki tysiące, jakby na senne zjawiska, zachwycające leniwą i bezczynną myśl i wyobraźnię. Mniejsza o to, że wypadki i myśli z świata marzeń, że ludzie zamienieni w szatanów lub aniołów, że pisarz wsunął szkło zafarbowane kolorem swojéj wyobraźni pomiędzy czytającą a świat; rozmaitość i fantastyczność obrazu zyskuje na tém. Ani użyteczna prawda, ani fałszywy paradox nie przyjmuje się w tym umyśle, który patrzy w książkę, jak w kalejdoskop. Ale są kobiety, które potém patrzą na świat, jak go im ukazało zafarbowane szkło poety, którym paradox zawraca głowę, obrazy namiętne zarażają wyobraźnię, których umysł staje się niezdolnym do zimniejszéj pracy przez znarowienie łakociami. A tak sterają czas, pokój serca, prostotę obyczajów, rzetelne i gruntowne ukształcenie umysłu, cierpliwość i rezygnacyję w troskach i pracy prozaicznego życia.

Dla kobiety młodéj, czułéj, drażliwéj, z głową niedojrzałą i wyobraźnią ruchomą, romans namiętny, ognisty, marzący, porywający się z fanatyzmem na porządek społeczeństw, równa się w skutkach użyciu odurzających napojów. Obrazy skreślone ognistemi farbami, zidealizowana rozkosz i miłość wstrząsają młode serce. Wyobraźnia rozkołysana napełnia serce niepokojem i tęsknotą, przenosi młodą, fantastyczną myśl w świat sztuczny, w koło czarodziejskie, zakreślono ręką poety. Wyprowadza jak żeglarza nadpowietrznego w wyższą atmosferę i całunem chmur przedziela ją od ziemi. Ten duchowy oddział od ziemi przemienia je w istoty z odmiennego żywiołu, nieudolne i nieumiejętne w zwyczajnéj kolei życia, brzydzące się szczupłym ale wzniosłym i trudnym, pełnym wyrzeczenia się samego siebie i religijnéj cierpliwości zakresem ich obowiązków. A rozigrana sentymentalność nigdy nie znajduje dość żywiołów na téj ziemi. — Wieleż to rodzin musi patrzeć z boleścią na nieszczęśliwe tego rodzaju, których życie całe jest męczarnią. U jednych wyraża się przewrotna sentymentalność, u drugich niczém nieposkromiona, bo na głupstwie ugruntowana próżność, czasami jedno i drugie, a to wszystko na plagę ojców i matek, mężów, dzieci i wszystkich, których w życiu się dotkną. Najgorszym skutkiem może jest zły kierunek, jaki potém nadają wychowaniu dzieci.

Również zły wpływ wywiera romans rzeczony na młodzieńca, mającego wrodzoną krzepkość umysłu, niedającą się żadnéj innéj władzy pokonać. Bywają bowiem przypadki, że wpływ filozoficzno-poetycznych marzeń na chorym umyśle i usposobionéj do tego wyobraźni, rodzi pewną moralną gorączkę, która pożera całe zasoby cierpliwości w pracy i cierpieniu, całe zasoby rozumu i umiejętności życia. Ale jest jeszcze inny szkodliwszy bo powszechniejszy wpływ romansu, który bezwątpienia jest powodem starannego usuwania go z rąk młodzieży w latach nauki przez troskliwych i oświeconych przewodników. — Któż nie przyzna, że młody człowiek ma teraz wielki i trudny zawód przed sobą? Nauki rozkrzewiając się, pokrzyżowały się z sobą, jedna idzie w pomoc drugiéj, jedna na drugiéj się opiera, trzeba ich poznać wiele, aby umieć głęboko jedną. Ludzkość przebiegła kres długi i nie próżnowała nigdy. Nie mówię, aby postąpić daléj, lecz aby stanąć na téj wysokości, na któréj teraz stoi, potrzeba olbrzy-

miéj pracy. Potrzeba dążyć prosto stromą drogą do celu, a nie bawić się zrywaniem kwiatów po przybocznych łąkach. Dusza młodego człowieka prawie zawsze jest poetyczna sama przez się; ogień uczucia miłości, zapału do wszystkiego, co wielkie, szlachetne, piękne, boskie goreje w nim w całéj świeżości i sile. Tę strunę jego duszy dość jest dotknąć kiedy niekiedy silném uderzeniem, a będzie brzmieć długo; ale złą do tego są drogą rozwlekłe i fałszywe obrazy, które zakłócają spokój jego serca i wyobraźni, a stosunkowo nazbyt wiele zajmują czasu. — Myśl przez wzgląd na tak rozliczne potrzeby czasu sili się na wynajdywanie środków skrócenia drogi nauk. Wyciągi, encyklopedyje, słowniki, skrócenia, pisma pomocnicze i czasowe silą się na wyścigi, aby nieść pomoc w objęciu, przejrzeniu i uporządkowaniu w pamięci tego ogromu wiadomości, które dla myślącego i chcącego być użytecznym człowieka, stają się coraz więcéj nieodzowne. Tymczasem namiętny romans występując w postaci rozwlekłéj, w chwili, kiedy ludzkość tyle żąda od młodego człowieka, wywodzi go na pokuszenie, pokazując siedm zwodniczych królestw. A jeśli co w płonie dla myśli i serca zostawia, jest to bez żadnego stosunku do długiego czasu, jakiego trzeba było użyć, aby wygrzebać ze stosu rumowisk.

Otóż takie zgubne romanse potomność uzna za cacka zbytkowe, nie za narzędzia postępu, odmówi im miejsca w rzędzie płodów przynoszących cześć umysłowi ludzkiemu.

Prawdziwy i zbawienny romans niedawno jął się na prawdę przeznaczenia swego, niedawno rozszerzył horyzont wzroku swego, poznał godność własną i sam siebie za igraszkę poczytywać przestał. Od téj to chwili dopiero stał się istotném dziełem sztuki, od téj chwili został potęgą. Młodociane przeto kroki jego w nowo otwartym zawodzie (jak mówi Cieszkowski), nie powinny nas ani zrażać, ani przerażać, boć wiadomo, że młodość wybujać musi, tém bardziéj, że żyje w świecie wiecznych pokus i upajającém ciągle oddycha powietrzem, a przekupniki i lichwiarze umysłowi do ciągłych go zbytków i nadużyć poduszczają. Raczéj dziwićby się można samorodnéj jego sile, iż tyle wytrzymać zdoła. Jakoż czyli nie dziw, że ta frymarka literacka zostawiła geniusz pani *Sand* tak wzniosłym, a pióro jéj tak mało skalaném? Czyż nie dziw, że nie rozstroiła jeszcze do szczętu dzielnego temperamentu *Eugeniusza Sue?* Bo że *Balzakowe* zdrowie tym złowrogim dla ducha wpływom uległo, że *Dumasowa* muza nieskończenie poduszczana, przyjęła do usług swoich mnogą liczbę cicisbejów, że *tutti quanti* nareszcie, jakoby skazane gladyatory, jedni po drugich w feljetonowym cyrku padali ofiarą romansożerstwa ludu, tego się łatwo było domyśleć. — Ale czyż idzie za tém, aby sam romans miał konać w ostatnich podrygach owych szermierzy? Albo czyż idzie za tém, aby miał być pozbawiony wieku męzkości i prawdziwéj dojrzałości, lecz z pustot młodocianych miał wpaść z nienacka w niedołężną zgrzybiałość? Nie powinniśmy też przywięzywać losów wszech istot duchowych do osób lub nawet osóbek. Te schodzą z widnokręgu, a idea, któréj były piastunkami, zostaje i wznosi się, unoszona coraz nowemi, których jéj nigdy nia zabraknie, dopóki nie dokona przeznaczenia swego. Tak też i reprezentanci romansu ginąć i rozbijać się mogą, a przecież on żyć będzie, bo ma przed sobą nowe pokolenie duchów. Być bardzo może, iż ani *George Sand*, ani *Sue*, ani *Dickens*, ani *D'Israeli*, ani *Laube*, ani *König*, słowem żaden z dotychczasowych jego koryfeów jakiéjbądź barwy, lub jakiegobądź narzecza, nie utorowali mu dalszéj drogi, ani mu wyższego nie przysposobili szczebla. Idzież tedy za tém, aby już sam romans nie miał doznać świetniejszéj przyszłości? Kto w wszechwładztwo geniuszu wątpi, ten zwykle myli się w rachubie. Wszakże sam los jednego przodka dzisiejszego pokolenia romansów, los romansu historycznego świadczy, do jakiego to stopnia godności rodzaj ten wznieść się zdoła, i rokuje potomkowi swemu, romansowi nowoczesnemu, chwilę rzeczywistéj chwały. Wszakże *Walter-Skot* był dopiero jasnowidzącym prorokiem przeszłości. Czemużby jaki rówiennik jego nie miał się nam objawić tak natchnionym zwiastunem teraźniejszości, lub nawet przyszłych stosunków wieszczem? . . .

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Romans (jak już na początku powiedziałem) przez swoją formę łatwną i ponętną dąży do wniknienia w masy; tam może się stać ziarnem dobroczynném lub zgubną trucizną; — i z tém też przekonaniem działania na ogół, pracują najpierwsi powieściopisarze Francyi; widzą oni w romansie potężne narzędzie do rozpowszechnienia swych zasad, widoków i dążeń. Polscy autorowie jakkolwiek znają naturę popularną powieści, nie mogą niestety z równą ufnością przystępować do pracy choćby z samego braku nakładców, którzy wolą za błahe pieniądze nabywać tłumaczenia cudzoziemskich utworów tak bardzo zajmujących czytający ogół. Ztąd może pochodzi, że w utworach naszych tego rodzaju nie ma téj lekkości i swobody, jaka cechuje obce powieści; — forma też zwykle mniéj wyrobiona pomimo wyższéj nierównie treści nie może się równać z mistrzowską oprawą utworów *Eugeniusza Sue* i *Wictora Hugo*. Brak autorom wprawy, bo brak sądu, krytyki, współczucia, wdzięczności w czytających. Wprawdzie jest środek obudzenia interesu, — środka tego używają właśnie francuscy autorowie, i on to w połączeniu z tém życiem umysłowości cechującém tamtejsze czasy, stanowi tajemnicę ich olbrzymiéj wziętości. Chcę mówić o pochlebianiu słabościom wieku, o obracaniu wad narodu na korzyść własną. Trudno pojąć (mówi filozofka),

jak na téj nikczemnéj drodze może rozwinąć się zdolność, i wątpić téż nie można, że autor „Tajemnic Paryża“ i „Żyda“ stanąłby niezawodnie na wyższym jeszcze stopniu jako artysta, gdyby umysł jego nie był gonił za celem wyżéj wymienionym. Nasz charakter polski pogardza tą drogą; mało wprawdzie mamy romansopisarzy, ale wszystkie ich utwory noszą cechę ogólnéj wartości, bezwzględnego moralnego znaczenia, nie są nigdy wywołane chwilową okolicznością lub zgubném przygotowaniem ogółu do przyjęcia fałszywych zasad. Zrażeni obojętnością pisarze polscy uciekają się najczęściéj do przeszłości, tworząc romanse historyczne. Wiedzą oni dobrze, iż powieść treści dzisiejszéj, przedmiotu popularnego, mogłaby się stać daleko użyteczniejszą, ale gdzież im walczyć z szaloną miłością obczyzny, z przewrotnością zdań, sądów i gustów, które zaszczepiła literatura tak mało wspólności z naszém położeniem i powołaniem mająca! Jestto w istocie fenomen bardzo ciekawy: ta gwałtowność pragnienia, z jaką ogół rzuca się na każdą nową powieść znakomitego pióra obcego, ta szybkość, z jaką przebiega utwór romansowy wszystkie sfery społeczeństwa od salonów do poddaszów — mówię do poddaszów, bo jeżeli nieznajomość języka staje tu na przeszkodzie, to uczynni tłumacze przychodzą w pomoc — i wówczas dzieło jak kula rzucona w miejsce zacieśnione domami, nie przestaje się odbijać z największą mocą i gwałtownością. Skutki zgubne tego wpływu u nas studjować możemy na utworze *Eugeniusza Sue* „Żydzie“, rozpowszechnionym z zadziwiającą szybkością za pomocą polskiego przekładu. Cel tego dzieła nie ma żadnego związku z naszą miejscowością; do tego zaś celu autor naciągnął całe opowiadanie, użył cudownéj swéj imaginacyi na przedstawienie obrazów, któreby posłużyły do tryumfu jego przekonań. Czyliż tryumf ten może nam przynieść jaką korzyść, czy owszem nierozważna chciwość, z jaką mniéj oświecone klasy pożerały ten utwór, nie powiodła ich do pomieszania kwestyj, do ogarnięcia ślepą nienawiścią wszystkich rzeczy wiary, bez względu na rożność tychże rzeczy od specyalnéj kwestyi Jezuityzmu, która jakkolwiekby rozwiązaną została, nie pociąga za sobą wstrząśnienia prawdy na opoce opartéj!... Ludziom świadomym całéj ważności religii dla społeczeństwa nie potrzeba obszerniéj tego przedmiotu rozwijać — oni pojmą i z boleścią podzielą moje zdanie. Czemże jest korzyść wykształcenia lub biegłości literackiéj czytającego ogółu, obok tych zgubnych skutków, jakie z tego poznawania obcych płodów wynika? — Na to szalone odurzenie nie mamy innego środka, jak postęp własnéj literatury, szczere, wytrwałe, poświęcone usiłowania naszych pisarzy ku zwróceniu interesu na kwestyje bliżéj nas obchodzące, objęte w formie ponętnéj, łatwéj, ujmującéj. Zwolna moglibyśmy dojść do tego celu, ale trzebaby zarazem współdziałania światlejszéj części naszych czytelników, aby dać zbawienny przykład zamiłowania ojczystych wyrobów, chociażby te nawet długo jeszcze pod względem formy nie wrównywały obcym arcydziełom. I czyliż nie mamy prawa żądać i spodziewać się tego współdziałania, kiedy idzie o daleko wyższe względy, jak sama świetność lub twórczość literatury miejscowéj — bo o dostarczenie zdrowych i właściwych żywiołów ogółowi, o przechowanie wiary, moralności i gruntownych pojęć porządku społecznego! Rozbiorowość racyjonalna wszędzie i zawsze jest szkodliwą, ale są miejsca i czasy, w których ona występną się staje, bo wstrząsa to wewnętrzne zebranie ducha, ściera święte chryzmo pobożności i życiodajnych przekonań, bez których żaden lud nie istnieje. — Piękną i zadziwiającą zaprawdę jest ta czystość dotychczasowa naszéj literatury, to wzniosłe prawdziwie obywatelstwo naszych pisarzy, iż żaden nie splamił się pochlebianiem namiętnościom chwilowym, żaden nie użył swego talentu na rozpowszechnienie błędu; ale obok téj negacyjnéj, że tak powiem, zasługi, trzeba jeszcze twórczéj gorliwości, trzeba ducha inwencyi i szczególnéj trafności, wypielęgnowanéj poświęceniem, aby uchwycić w chwilowém usposobieniu czytelników tę właśnie stronę dobrą, na któréj równie można oprzeć powodzenie utworu, jak opierają na usposobieniu fałszywém chwalę swoją autorowie francuzcy.

W każdéj powieści, jak w każdéj pracy piśmiennéj, są części odpowiadające współczesności i chwilowości — i części będące w związku z prawdami wiecznemi, niezmiennemi, na których trwałość stosunków ludzkich spoczywa. Dotąd nasi pisarze daleko więcéj rozwijali te ostatnie; dowodzi to (jakem wyżéj powiedział) ich szlachetności, ale ograniczenie się w ogólnych względach, uprawianie powieści historycznych, nie postawi ich tak rychło w możności zrównoważenia obczyzny Wprawdzie powstaje tu niezmierna trudność; bo jakież tu są względy — zapyta niejeden — któreby zarazem były chwilowemi, odpowiadały miejscu, czasowi i okolicznościom, a nie miały żadnego związku ze słabościami i wadami ogółu? W istocie mała ich liczba, ale téż wpływy moralne nie mierzą się liczbą; na jeden wzgląd wielki, prawdziwy — trzeba tysiąc fałszywych, aby zrównoważyć siłę wewnętrzną pierwszego. U nas szczególnie, gdzie rozbiorowość i zepsucie nie tak jeszcze upowszechnione, jak na zachodzie, pozostały bogate środki uroku, efektu i obrazowości najczystszéj. Niechby np. romansopisarz uchwycał rysy życia domowego, stosunki członków rodziny między sobą, stronę uczuciową życia i całą rozmaitość odcieni, jakie ta strona przedstawia we wszystkich klasach społeczeństwa, niechby zobrazował spokojny bieg obowiązkowego istnienia, stan serca człowieka prawego w obec błędów, które on mocą rozumu dostrzega i całą siłą

sumienia ocenia! Trudno zaiste wskazywać przedmioty, natchnienia, czyste i wzniosłe natchnienie będzie tu najlepszym mistrzem; nie mogę wszakże wstrzymać się od zwrócenia uwagi na jeden najważniejszy wzgląd dla romansopisarza, o którym zanadto dziś zapomniano. Wiek nasz objawia niezmierne pragnienie rzeczywistości, odbijania życia ze wszystkiemi jego występkami, słowem wymaga dzikiéj prawie wierności w obrazowaniu. Pragnienie to u nas nie doszło jeszcze do tego stopnia, jak we Francyi; będzie ono zawsze miarą stanu obyczajów, bo równie masy, jak i człowiek pojedynczy wtedy tylko znosi widok złego i łaknie jego opisu, kiedy w duszy stracił święty wstyd i zniszczył w sobie poszanowanie dla zasad! Trzeba nam więc korzystać z tego stanu naszych czytelników, trzeba uchwycić szybko gasnącą już miłość ideału, która jest najżywotniejszym pierwiastkiem chrześciańskiéj cywilizacyi i największym skarbem każdego ludu. Obrazujmy wzory zamiast szkarady, podnośmy dusze miasto obznajmiać z widokiem błędów, ożywiajmy energiję i wiarę w dobro, bo bez tego nie długi byłby tryumf artysty, gdy nawet o własną chodzi chwałę. Autor nie powinien być kopistą; rzeczywistości mamy już dosyć, ona nas ogarnia, przytłumia, zasmuca; my od pisarza pragniemy wielkich obrazów, szlachetnych opowiadań, pod których wpływem słodko wypoczęłaby dusza; chcemy wprawdzie wierności, ale téj wierności, która cnotę i ideał dobra przedstawia w proporcyach właściwych ludzkiéj naturze, która polega na wzniosłéj, religijnéj znajomości człowieka, nie zaś téj rzeczywistéj, oddającéj z całą nagością bolesne dla serca obrazy zepsucia. Nawet ucisk, przemoc ofiary niesprawiedliwości rzadko powinny być przedstawiane, zwolna bowiem myśl przywyka do tych rysów, sumienie traci tę dziewiczość oburzenia, będącą stróżem obyczajów — i taką to drogą od literatury, tak dobrze nazwanéj literaturą szaloną przechodzi się do rzeczywistości, która dostarczyła materyału do smutnych szkiców „Tajemnic Paryża“. — Straszne sprężyny efektu używane przez *Wiktora Hugo* i *Dumasa* w ich dramatach, w bliższém, niż rozumiemy, są powinowactwie z dzisiejszym stanem obyczajów ludu we Francyi. Zapewne, że trzeba już było usposobienia skażonego w ogóle, aby natchnienie geniuszów wzięło taki kierunek, ale też natchnienie to odpłaciło swoim wpływem ogółowi, który mu takich dostarczył żywiołów. Dziś już nie ma literatury szalonéj, autorowie już nie upajać, ale kopijować usiłują, lubo obrazowanie prawdy nie ustępuje niczém dawnym ideałom szkarady. Jakże upadło pojęcie wielkiego zawodu pisarza! czyliż zapomnieliśmy już, że Bóg na to obdarza talentem, aby wybrani jego byli kierownikami opinii, wskazicielami prawdziwej drogi postępu! Jest dziwna niekonsekwentność w czynach współczesności; któż więcéj od niéj rozumie potęgę druku, kto więcéj ogadał tę potęgę? w użyciu przecież ogarnia piszących jakaś dziwna gnuśność, która czyni ich geniusz martwém zwierciadłem odbijającém bez żadnéj samodzielności przesuwające się przedmioty. Czyliżby idea fatalnego postępu tak nas dalece zaślepiła, że wszelką nową, choćby najbardziéj wyuzdaną rzeczywistość bierzemy za szczebel do wyższéj fazy ludzkiego wychowania! To zaślepienie byłoby darowane filozofom, teoretykom, bo oni długo zostając w ideach ogólnych, pozbawieni są wielkich nauk praktyczności, które równoważą tak skutecznie uprzedzenia systematyczne — ale romansopisarz żyje w rzeczywistości, rozumie ją, ściga w najmniejszych jéj odcieniach, i być może, iż właśnie to obcowanie z rzeczywistością stępiło czułość na widoki uczuciom moralnym przeciwne. Jestto zaklęte koło, ciągła wzajemna reakcya, z któréj literatura powieściowa zachodnia póty nie wyjdzie, póki literatura filozoficzna poważna tamtejsza nie przestanie być również echem dążeń rozbiorowych ogółu. Wprawdzie wyższe geniusze wychodzą niekiedy z téj ujemnéj pozycyi kopistów, usiłują dźwigać się na stanowisko właściwe ich talentom, skądby przewodniczyć mogli ogółowi; ale taki zawód, aby godnie był spełniony, potrzebuje dzielnego przygotowania. Samodzielność nie przychodzi od razu — rodzi się ona z wielkich, głębokich religijnych przekonań; bez tych przekonań kierowanie opinią będzie zawsze tylko stronnością i pochlebianiem panującym namiętnościom. U nas dojście do samodzielności daleko jest łatwiejsze; my nie zszarzaliśmy jeszcze natchnienia, stoimy na rozdrożu; wzory obu ciągną nas w swoje ślady, lecz stoi na straży sumienie polskie, przywyknienia obyczajowe, i właśnie ten brak czytelników, który chroni od uderzenia i podszeptów miłości własnéj.

Do ideału więc moralnego silnie odwołać nam się trzeba — autor jest jak nauczyciel w narodzie, a któż nie wie, że ten ostatni najsilniéj działa, kiedy podnosi dusze swych wychowanków, kiedy nie zatrzymując się na drobiazgowym rozbiorze ich wad i skłonności, uchwyca najskłonniejsze strony charakteru, wierzy w nie, rachuje śmiało, podaje rękę braterstwa młodym tym istotom, ufnością i szacunkiem, jakby cudowną różczką budząc istotną wzniosłość i siłę.

## FRAGMENT.

Orły! skrzydłami w niebo — bezmiar kresem ducha,
A ludzkość ołtarzem trudów.
Ogniem piersi rozpalmy żalazo łańcucha,
Niech wstaną niewolników szkielety gnijące —
Za chmurami przesądów jest światło i słońce,
Chrystusem — święty krzyż ludów!

Czyn jak piorun bezwładny w łonie wieków drzemie
Do walki stanęły — karły....
Niewolników plemię.
Patrzcie i już im trwoga na twarz wyszła blada —
Z tłumu wstał upiór zemsty jak widmo przeszłości,
Lud pochwycił za noże pragnąc krwi i jęku....
Lud, który nie zna litości.
Wtém jakiś głos piekielny rzucił słowo: z d r a d a!
Lud został niemy — umarły.

Raz, zbudził się lew zemsty i trwoga upadła
Na północnych tytanów....
Upiór stanął przed Carem a twarz Cara zbladła.
Więc kazał niewolników bezmierne miljony,
Rozkuć z żelaznych kajdanów.
Tłum upadł na kolana bijąc mu pokłony.

A odtąd — nie ma hańby, którąby nam w oczy,
Nie rzucił car wszechwładny i ból ten nieznany,
Któryby się bagnetem nie wrył w piersi nasze.
I tyle lat już dźwiga żelazne kajdany
Miljonowe plemię Lasze —
Choć jeden Car jest tylko — jeden Car północy....

*Aleksander.*

# Jak moja ciotka Izabela została starą panną.

POWIEŚĆ

*przez* ***Karolinę Reybaud.***

(Dokończenie).

— „Powinnaś przecie namyśleć się jeszcze, moja piękna Izabelo“ — wtrąciłam prawie bojaźliwie. „Dla czegóż nie zaczekać, skoro wkrótce wrócimy do Paryża?“...

— „Wrócić do Paryża!“ przerwała Izabela; „o nie— nie jeszcze!“... Czyż tobie tutaj tak źle, moja droga cociu? Czyliż ten kraj nie jest czarujący? Mnie już na samą myśl powrotu łzy się cisną do oczów.

— „Wrócimy“ — rzekła moja siostra „i przyjedziemy tu znowu na wiosnę“.

— „Jak jaskółki — któreś wczoraj widziała odlatujące“ — dorzuciłam „jaskółki, które się gnieździły pod dachem pałacu księcia Saldiniego“.

A do których książe Kamil wołał: „do widzenia“ — przerwała marzycielka; „pewnie przyrzekł zejść się tu z niemi na przyszły rok“.

— „Drogie dziecko“ rzekła moja siostra, wracając do rzeczy — „rozważ tylko korzyści partyi, jaką odrzucasz. Idzie tu o człowieka już bardzo wsławionego“.

— „Nie chcę więcéj ani słyszeć o nim!“ zawołała Izabela, śmiejąc się — i robiąc poruszenie, jakby sobie chciała zatkać uszy; „Nie pójdę ani za niego, ani za żadnego z tych Paryżanów“.

— „Kogóżbyś więc obrała, czy jakiego z okolicy, czy jakiego cudzoziemca?“ wykrzyknęła moja siostra, uderzona może jakiémś podejrzeniem.

— „Ach moja córko! cóż tobie na myśl przychodzi?“

Izabela usiadła u nóg matki i rzekła do niéj z uśmiechem:

— „Uspokój się, droga mamo — wszak moje serce wié, co robi, i bądź pewną, że mi żadne nie grozi niebezpieczeństwo“.

A gdy moja siostra wstrząsała głową — i ze łzami patrzyła na Izabelę, ona obejmując matkę za szyję rzekła:

— „Ale mamo — ty znowu płaczesz; uspokój się, błagam cię — będziesz mnie widziała jednego dnia najszczęśliwszą z kobiet; nie bądźże przecie dzieckiem i zawierz mi“.

Nie było co odpowiedzieć, bo ona posiadała niezachwiane zaufanie swéj matki.

A więc się nie omyliłam — ona kochała księcia Kamila, i myślała z nim się połączyć. Zachowałam jednak milczenie, myśląc tylko: Niech się dzieje wola Boga!

Taki stan rzeczy trwał dni jeszcze kilka; książę Kamil przychodził często — miał minę człowieka szczęśliwego — człowieka, który kocha i jest pewnym wzajemności. Pewnego dnia rzekł do mnie: „Ta okolica nie jest poetyczną, ani zbyt piękną. Przybywszy tu, nudziłem się okropnie; ale teraz się przyzwyczaiłem — i czuję, że mógłbym tu być szczęśliwym“.

Izabela spuściła na dół oczy, jakby to się jéj tyczyło; on nie zważał na to — a ja uczułam pewną obawę.

Nazajutrz po tym dniu, przyszedł książę Kamil wcześniéj niż zwykle i rzekł nam krótko, nie chcąc nawet usiąść:

„Téj nocy jeszcze odjeżdżam do Rzymu, i przyszedłem pożegnać was moje panie“.

— „Tak!“ wykrzyknęłam — „i na długo pan odjeżdżasz?“

— „Może na kilka miesięcy — potem wrócę, by tu zostać na zawsze — i wtedy będę u celu mych pragnień“....

Twarz Izabeli mieniła się — ale ona nie była w stanie przemówić — gwałtowne wzruszenie nie dozwoliło jéj przyjść do słowa.

— „Żegnam więc pana“ — wyjąkała nareszcie niezrozumiale, nie wiedząc nawet dobrze, co mówi, i podała machinalnie rękę księciu Kamilowi — „żegnam... wszak pana jeszcze ujrzymy?...

— „Czy mogłaby pani o tém wątpić?“ zawołał prawie z wzruszeniem; — „Tak — z pewnością znaj-

dziemy się tu jeszcze — ja wtedy będę najszczęśliwszym z ludzi!...“ Po tych słowach wybiegł, rzucając nam jeszcze ostatnie pożegnawcze spojrzenie, pełne czułości i obietnic tkliwéj pamięci.

— „Gdyby téż więcéj nie wrócił“ — myślałam z trwogą. Niestety! zniszczyłoby to spokój — radość — i szczęście naszego domu.

Izabela stała przedemną jakby zkamieniała. Te chwile błogich upojeń trwały pięć miesięcy, a ona nie pomyślała nigdy, aby się skończyć kiedy mogły. Biedna zakochana marzycielka usnęła w śnie słodkich swych pragnień — a teraz zbudziła się nagle — jakby na dnie przepaści. Posiadała jednak tyle siły, aby nie pokazać strasznego zwątpienia, rozdzierającego jéj duszę; płakała tylko wtedy, gdy była samą.

Książę Kamil nie mówił nigdy o swojéj podróży i już w ostatniéj chwili przyszedł nas pożegnać. W pałacu Saldiniego mówiono, że pojechał do Rzymu w interesach familijnych, i że z powrotem miał się na dobre osiedlić we Francyi.

Podczas tych pierwszych dni rozstania Izabela była bardzo złamaną na duchu. Moja siostra chciała ją pocieszyć i wybić jéj te myśli z głowy — ale ja oparłam się temu. Byłoby to tyle, co podniecić wybuch niebezpieczny. Radziłam méj siostrze zaniechać niepotrzebnych rozczulań — i ukoić smutek Izabeli oddalając ją natychmiast ztąd, gdzie wszystko przypominało jéj księcia Kamila. Postanowiono więc odjechać, co było całkiem naturalném następstwem rzeczy.

— „O tak — jedźmy, jedźmy“, zawołała Izabela; „jak tu smutno w zimie! tak — wróćmy do Paryża“.

Myślałam, że ją rozrywki wyleczą — że może zapomni księcia Kamila. Prowadziłam ją codzień na bale: nic jednak nie pomogło — była obojętną na wszystko. Widocznie żywiła w duszy nadzieję, i ufała w spełnienie swoich życzeń; wspomnienie księcia było jedyném jéj szczęściem. Żyła w przyszłości — i chciała teraźniejszość przebyć jak najprędzéj.

Przybywszy do Paryża otrzymaliśmy list z uwiadomieniem, że pan Clamecy ożenił się z osobą młodą, piękną, bogatą i z dobréj familii.

— „No, ten się prędko pocieszył“ — rzekła, śmiejąc się moja siostra — „a przecie zdawał się być bardzo zajętym Izabelą, dla tego człowieka miałam jakąś sympatję, i zdaje mi się, że zaprędko się pospieszył. Powinien był trochę zaczekać — prawda, moje drogie dziecko?“ dodała zwracając się do swéj córki, która słuchała, stojąc wsparta na poręczy jéj fotelu.

Izabela skrzywiła się pogardliwie i rzekła: „Moja mamo — ty nie masz wcale ambicyi“.

— „Doprawdy?“ odrzekła moja siostra z lekką ironiją. Czegóż ty więc wymagasz? Cóżbyś ty chciała znaleść w twym mężu?“

— „A! a! — wiele rzeczy“ rzekła, żartując. Potem przybrawszy wyraz poważny, mówiła daléj: „Ja chcę męża, żeby miał duszę ognistą — umysł niezwyczajny — powierzchowność odznaczającą się — dobre ułożenie — piękne imię — i wielki majątek“.

— „Tylko tyle!“ zawołałam — „i gdzież to chcesz szukać tego feniksa?“

Izabela rzuciła na mnie spojrzeniem, które zdało się mówić: „Jużem go znalazła“. Jéj zaufanie zjednało mię, i chcąc odpowiedzieć na jéj myśl, zawołałam: „Ach! tém lepiéj! Jakże będziemy dumne z naszego zięcia“.

Zima się skończyła — a w miarę, jak dnie wzrastały, Izabela stawała się żywszą i weselszą. „Widzisz ciociu“, rzekła do mnie — „otóż i piękna wiosna zawitała do nas — i róże już rozkwitają“.

— „Ale w G.... nie ma ich wcale“ — rzekłam, zgadując niby jéj myśli; „tam są tylko pola z ziemniakami“.

— „I cóż z tego?“ zawołała moja siostrzanka z zapałem. — „Kwiat ziemniaka jest także piękny — a nawet woń ma przyjemną“.

— „Otóż znowu marzenia!“ przerwałam, nie mogąc się powstrzymać.

— „Trzeba więc zrobić wizyty pożegnalne“ — rzekła moja siostra półgłosem.

W dwa dni późniéj odezwał się silnie dzwonek u drzwi, i służący zapowiedział przyjście pani burmistrzowéj. Byłyśmy wszystkie trzy w salonie: moja siostra oparta w fotelu — dumała, ja czytałam dziennik, a Izabela haftowała przy oknie. Ujrzawszy p. burmistrzową, zadrżała i zarumieniła się, ale po przywitaniu zajęła znów swe miejsce przy krosienkach. Widocznie oczekiwała wzmianki o księciu Kamilu, i nie chcąc dać poznać swego wzruszenia, wsunęła się jeszcze więcéj w kąt pokoju, i zdawała się być zatopioną w swéj pracy. Widzę ją jeszcze, pochyloną nad krosienkami tak, że zaledwie widać było jéj profil w półcieniu. Po upływie półgodzinnéj rozmowy o tém i o niczém, p. burmistrzowa rzekła nam, robiąc przestanki za każdém zdaniem:

„Powiem wam moje panie wielką nowinę; — Książę Kamil już wrócił — i zgadnijcie co nam przywiózł?... Swoją młodą żonę, piękną Włoszkę, z którą się ożenił téj zimy. To cały romans!... Kochali oni się od dzieciństwa jeszcze. Książę Kamil był zrozpaczony, gdy go ojciec wezwał tu do siebie, trzy lata temu. Okrutny ojciec sprzeciwiał się temu małżeństwu, bo panna, jakaś krewna daleka Saldinich, była bardzo ubogą. Młodzi zakochani, rozłączeni tak, rozpaczali — jedno we Włoszech, drugie we Francyi. I oto przyczyna, dla któréj książę Kamil był tak melancholicznym. Nakoniec wskutek swego poddania się i swych próśb, ojciec pozwolił mu wrócić do Rzymu, a potém posłał mu swoje zezwolenie listownie. Małżonkowie wyjechali zaraz

z kościoła; widzieliśmy ich, gdy przybyli w przeszłą niedzielę. Otóż mamy teraz o jednę tancerkę więcéj do naszych balów. Widziałam z blizka tę młodą mężatkę: jest bardzo młodziutka, ładna blondynka, i na mój honor, ma postawę wielkiéj damy".

Podczas tego opowiadania, któregośmy słuchały w milczeniu, biedna Izabela bladła — ale wyraz jéj twarzy był spokojny. Gdy burmistrzowa skończyła, lekkie westchnienie uleciało z piersi Izabeli — a potém przycisnęła chusteczkę do ust — i to było wszystko....

Pani burmistrzowa namawiała nas do powrotu do wód, nagliła żywo, abyśmy przyspieszyli czas odjazdu, a potem jakby dla zdecydowania nas, dodała: „Będzie zabawa weselna w pałacu Saldinich, wszak nie możecie panie jéj opuścić; mówią już o téj uroczystości, będzie bardzo świetna i wiele osób na niéj. Nie będzie żadnych kosztowności, ani strojów, pojedyncza suknia bez ozdób. Panna Izabela dała przykład w przeszłym roku, i wszystkie te panie pójdą za nim. Z tych słów p. burmistrzowéj było widoczném, że ani nie domyślano się tego, co się działo w sercu Izabeli — nawet sam książę Kamil nie pomyślał z pewnością o tém.

Pani burmistrzowa spędziła z nami resztę dnia; mieliśmy wiele gości, i moja siostrzanka nie mogła opuścić salonu. Była spokojna — prawie wesoła — i aż do końca zachowała wszelkie przepisy dobrego wychowania.

Po południu byłam chwilę sam-na-sam z Izabelą; wtedy ona rzekła mi cichym głosem, nie okazującym żadnego wzruszenia — żadnéj goryczy — ale z wyrazem głębokiego przekonania: „Jakżem się omyliła!..."

Chciałam odpowiedzieć; ale ona położyła palec na ustach, mówiąc:

— „Nie wspominajmy już nigdy o tém — już nigdy — moja dobra ciociu"....

Możesz się domyśleć moja Julijo, że już nie wróciliśmy do wód. Izabela unikała ludzi — sama myśl balu przejmowała ją wstrętem; od tego czasu usposobienie jéj bardzo się zmieniło; stała się więcéj jednostajną — łagodniejszą — ale zobojętniała na wszystko. Nastręczało jéj się jeszcze wiele dobrych partyj — odrzuciła wszystkie i zamknęła się powoli w naszém malém kółku rodzinném. Żyliśmy tak spokojnie i jednostajnie przez piętnaście lat. Słabe zdrowie méj siostry było powodem, którym Izabela tłómaczyła swoje odosobnienie. Odbieraliśmy mało wizyt; ale pan Clamecy przychodził czasem. Powodzenie jéj było świetne z zwyczajnego dziennikarza został ministrem. Izabela przyjmowała go, jako swego dawnego przyjaciela, ale w głębi serca żałowała może, iż nie chciała zostać jego żoną.

Śmierć mojéj biednéj siostry była strasznym ciosem dla Izabeli — myślałam już, że pod nim upadnie. Nasze domowe szczęście było do reszty zburzone. Chociaż już byłam w wieku podeszłym, nie mogłam jednak poddać się temu głuchemu istnieniu — téj próżni, ogołoconéj ze wszystkiego ruchu i wesołości. Czułam zawsze, jak łzy cisnęły mi się do oczu, gdyśmy wieczór siedziały przy stole: w pustéj sali jadalnéj stały tylko dwa nakrycia. Siedziałyśmy naprzeciw jedna drugiéj, i często przeszła wieczerza, żeśmy nie mówiły i jednego słowa ze sobą. Chciałam być nie tyle myślącą i żywszą — ale nie mogłam tego czynić przez wzgląd na Izabelę. Doradziłam jéj więc udać się do was, aby się rozerwała; tu u was panuje wesołość, wy trzy jesteście roztrzepane i napełniacie cały dom ruchem, hałasem i życiem. Izabela nie zdaje się brać udziału w téj ciągłéj żywości, ale się tu czuje zadowoloną; co do mnie, ja potrzebuję odświeżyć moją starość w towarzystwie przyjaciół; jestem jeszcze bardzo światową, podróżuję, i zachowałam jeszcze wszystkie dawne związki. Przeszłego roku odwiedził mię książę Kamil — ale już niepodobny więcéj do weneckiego ambasadora; twarz jego jest okrągła — figura już nie wysmukła, i nabrał ułożenia korzennego kupca. Żona jego już dawno umarła i zostawiła mu pół tuzina dzieci. Otóż powieść mojéj siostrzenicy — czy i ty chcesz podobnie zrobić — moja mała?"

— „O! nie — nie! pani" — wykrzyknęłam żywo.

— „I cóż ona na to?" spytała moja ciotka Izabela wchodząc do pokoju przez drzwi uchylone, w swych długich pomierzwionych lokach i w swym czépeczku blondynowym.

Pobiegłam do niéj i zawołałam ściskając ją serdecznie:

— „Powiedziałam, droga moja ciociu, że dobrowolnie oddam rękę panu de Champarnie, a tobie na kolanach dziękuję za naukę, którąś mi dała".

— „Napiszę moją historyję" — rzekła smutnie moja ciotka Izabela; „posłuży ona za przykład panienkom, idącym za popędem swych tajemnie wymarzonych romansów, których bohater nie wie nigdy ich pierwszéj litery — i których ostatnia stronnica pozostanie niezapisaną".

## Pieśń greckich żeglarzy.

**(z Alceusza).**

Spienione bałwany i fala po fali
Z łoskotem się piętrzy i okręt w głąb nurza;
Już pomost zalany — a z morzem tam w dali
Mocuje się burza.

Już okręt zalany — a statkom pobratnim
I wicher i fala wciąż grożą zniszczeniem —

Lecz naprzód! — o naprzód! z wysiłkiem ostatnim.
Nam burza zbawieniem.

Z odwagą rozpaczy — hej! śmiało w bałwany.
Kotwica nam na nic — więc w morze ją — płyńmy!
Choć okręt zalany choć maszt zdruzgotany....
Zginiemy — to gińmy!...

*Miron.*

# Nie jesteśmy sobie nic winni.

Komedya w 1. akcie.

przez

***Adama Bełcikowskiego.***

(Ciąg dalszy.)

## SCENA VII.

LUDWIK i CECYLIA.

CECYLIA.

(otwiera ostrożnie drzwi z prawéj) Sam jeden — korzystajmy z téj chwili. (wchodzi na scenę) Pragnęłam się z panem rozmówić....

LUDWIK.

Ah, to pani!

CECYLIA.

Ta rozmowa była potrzebną dla nas obojga. Od czasu, gdyśmy się ostatni raz widzieli, wiele rzeczy się zmieniło.

LUDWIK.

Wierzaj pani, że mi to boleść sprawia....

CECYLIA.

Za pierwszym na pana rzutem oka poznałam, że nie witałeś mię z tém uczuciem jak dawniéj, że panu cięży coś na sercu, z czego chciałbyś wynurzyć się przedemną. Ja z mojéj strony może podobne miałam przyczyny. Nadto obecność pewnych osób w naszym domu czyni to wzajemne porozumienie się konieczném, jeżeli chcemy ujść przykrych, a może bolesnych następstw....

LUDWIK.

Przed chwilą robiłem sobie takież same uwagi — i postanowiłem powiedzieć pani wszystko....

CECYLIA.

Wszystko, co pan wiesz?

LUDWIK.

Tak, co wiem.

CECYLIA. (d. s.)

A więc już wié?... Któż mu to mógł powiedzieć? Zapewne sam Edmund. (głośno) Panie Ludwiku, jesteśmy ludźmi dorosłymi — nie dziećmi, mamy rozum i wykształcenie, które powinny kierować naszemi uczuciami. Wreszcie żyjemy w wieku XIX., powinniśmy wiedzieć, co można a czego nie można do skutku przywieść. Nasze czasy są czasami prozy i rachunku. Nie wstydźmy się tego! Mają one i swoje zalety przed innemi wiekami. Serce odgrywa dzisiaj podrzędną rolę i słuchać winno rozkazów rozsądku. Wszak pan przyznajesz?

LUDWIK.

Tak pani. Życie w obecnych czasach wymaga ciągłych od nas poświęceń. Najpiękniejsze kwiaty naszéj duszy rzucamy mu w ofierze, byle wypełnić swe obowiązki i stanąć u celu. Musimy nieraz zaprzeć się samych siebie i czynić tak jak konieczność nakazuje. Ubieganie się za niemożliwością nie liczy się w naszym wieku do bohatérstwa, lecz do rzędu karygodnych mrzonek.

CECYLIA.

Pojmujesz pan zatém całe położenie rzeczy....

LUDWIK.

I musiałem nagiąć się do niego. O wierz mi pani, że żałuję naszéj przeszłości — ona była tak piękną! Kochałem cię — byłaś jedyném pragnieniem méj duszy — zachwycał mię ton twego głosu, twój wzrok, każdy ruch twego ciała!... Śniłem tak błogo przez kilka miesięcy — i tam w mieście, gdym czuł bicie twego łona w uroczym szale tańca — i tu, wśród téj uśmiechającéj się natury, gdyśmy razem zrywali kwiaty, albo spoglądali za uciekającemi w dal obłokami!... Nareszcie poznałem, że muszę cię stracić... żeś ty nie dla mnie!...

CECYLIA.

Ah, panie! (d. s.) Więc już wié, że przyrzekłam rękę Edmundowi. Odetchnęłam — to było najtrudniejsze przejście! (głośno) Dawno się pan o tém dowiedziałeś?

LUDWIK.

Powinienem to był wiedzieć od samego początku. Ale miłość mię zaślepiła. Dopiero, gdym wyjechał za granicę, a mianowicie, gdym czas jakiś bawił w Wiesbaden....

CECYLIA.

Jakto tam? Któż panu powiedział?

LUDWIK.

Zacząłem przypominać sobie wszelkie stosunki i rozważać. Pani znasz wyobrażenia swego ojca, słyszałaś zapewne i dzisiaj, jak jak on się zapatruje na miłość i małżeństwo. Ja z moją pracą i nauką, z mojemi szczupłemi dochodami nie jestem godzien zostać jego zięciem.

CECYLIA.

Wybacz pan memu ojcu. Nie on jeden tworzy zdanie świata, ale tylko za niém postępuje. My to może więcéj zbłądziliśmy, oddając się szałowi, który nie mógł się urzeczywistnić.

LUDWIK.

I ja toż samo sobie powiedziałem. Wtedy jednego dnia....

CECYLIA.

Odbierasz pan list z kraju?...

LUDWIK.

Nie, spotykam pewną osobę....

CECYLIA.

Która pana utwierdza w tém przekonaniu mówiąc....

LUDWIK.

Mówiąc do mnie: młody człowieku, wiem, że prócz swego stanowiska nic nie posiadasz, ale pozyskałeś moją wzajemność. Jestem młodą wdową, panią swéj woli i majątku....

CECYLIA.

Co pan mówisz?!...

LUDWIK.

Tak, pani — poznałem pewną kobietę, którą pokochałem....

CECYLIA.

Pokochałeś!...

LUDWIK.

Mając na oczach te trudności, to niepodobieństwo pozyskania kiedykolwiek twéj ręki. Ten błogi szał w którym żyliśmy, czyż mógł się stać rzeczywistością?

CECYLIA.

O niegodny!

LUDWIK.

Przebacz mi, Cecylio! Już się stało. Musimy ustąpić konieczności. Zapomnijmy o wszystkiém. Ja tamtéj kobiecie dałem już słowo, zaniedługo zostanę jéj mężem. (d. s.) Ah, wypowiedziałem już wszystko!

CECYLIA.

Kochasz się?.. jesteś kochany?.. zaręczyłeś się nawet?.. a to pięknie mój panie! Powiedz mi teraz, jakie nadać ci stanowisko, czém jesteście — wy mężczyźni! Niedawno ubóstwiałeś mię, zdawało się, iż żyć bezemnie nie możesz, przyrzekałeś być stałym aż do grobu, miłość była dla ciebie świętością nad świętości!... Kilka tylko tygodni rozłączenia — i cóż się stało? Poznałeś jakąś bogatą wdówkę, która ma zapewne większy od mego posagu majątek, i powiedziałeś sobie: dobra partja! cóż mi po miłości Cecylii? ją trzebaby kochać, kochać Bóg wié jeszcze jak długo, ażby się ojciec w końcu dał zmiękczyć, może pod warunkiem wydania córki bez posagu. Ej, głupstwo miłość, żeńmy się z wdówką! Cóż, czy nie tak było?... I pan śmiałeś mi to w oczy powiedzieć?... Prawdziwe uczucie tak łatwo nie przemija. Pan nie kochałeś mię nigdy, oszukiwałeś mię... oh niegodnie mię oszukiwałeś!

LUDWIK.

Przebacz mi, Cecylio!...

CECYLIA.

Nie, nigdy! (przykłada chustkę do oczu)

LUDWIK.

Pani płaczesz?... Na Boga! nie płacz pani... to mię przyprawi o rozpacz, o szaleństwo!...

CECYLIA.

Ja nie o pana płaczę — nie, bądź pan pewien. Straciłeś w mych oczach wszelką wartość, jesteś godzien pogardy! Mnie żal moich uczuć, mnie wstyd.... (d. s.) jestem zła! (wychodzi prędko na prawo)

## SCENA VIII.

LUDWIK. (sam)

Masz słuszność Cecylio, pogardzaj mną... pogardzaj!... Nie zasługuję nawet na twą litość... cóż może mój krok usprawiedliwić?... Dowiodłem tylko moralnego tchórzostwa i podłości!... No proszę, ludzie mieli mię zawsze za uczciwego człowieka, ja sam za takiego się uważałem — ale to tylko fałsz i hipokryzya!...

Rozbiéram bliżéj swoje sumienie i widzę, że tam nie ma jednéj suchéj nitki, nie ma uczciwości, nie ma honoru. Jestem nędzny spekulant na posagi, nikczemnik o wytartém czole... jestem moralną nicością!... Ah, to mię zabija! (siada powoli na krześle stojącém z boku i opiera głowę na ręku. Aniela i Edmund wchodzą z ogrodu)

## SCENA IX.

ANIELA. — EDMUND. — LUDWIK.

EDMUND.

Nie wątpiłem, że z panią będzie można rozsądnie pomówić. Zawsze jednak wdzięczny jestem pannie Cecylii, że panią pierwsza o mych zamiarach uwiadomiła.

ANIELA.

Jesteś pan wiele winien swojéj szczęśliwéj gwiaździe....

EDMUND.

Bezwątpienia, mojéj szczęśliwéj gwiaździe — jednak i pani także po części....

ANIELA.

Cecylia wynurzyła się przede mną, nie wiedząc zupełnie, że niedawno liczyłeś się pan do moich wielbicieli i ubiegałeś o mą rękę....

EDMUND.

Przyznaj pani, że byłem nawet dość blizki jéj otrzymania....

ANIELA.

Być może. Ale mógł się także zdarzyć wypadek, którego pan powinieneś się był nawet spodziewać, że ja trwałabym ciągle w chęci oddania jéj panu — cóżby wtenczas było?

EDMUND.

Los zrządził inaczéj. Szczęśliwa dla mnie gwiazda weszła na pani horyzoncie w osobie tego pana, któ-

rego ja nie znam, o którego panią nie pytam, bo mi wystarcza to, że go pani kochasz.

ANIELA.

Nie posądzaj mię pan o niestałość. Tak często nie jesteśmy panami swoich uczuć i poddajemy się im jakby wpływowi magicznéj władzy. Ten młody człowiek — pomimo całego szacunku, jaki dla pana posiadałam — zrobił na mnie wrażenie, nie starając się o to, i wprzód nim ja sama to spostrzegłam. Zainteresował mię swą osobą. Wyobraź sobie pan młodego człowieka, który sam sobie wszystko jest winien, człowieka zapalającego się do postępu i wiedzy, a przytém pełnego uczucia i bez żadnéj pedanteryi.

EDMUND.

Są to przymioty zasługujące na uznanie i szacunek.

ANIELA.

Zdawało mi się, że Opatrzność wymaga tego po mnie, bym temu człowiekowi dążącemu do szlachetnego celu przyszła z pomocą, jaką dać może mój majątek.

EDMUND.

Była to myśl zacna i chwalebna!

ANIELA.

My kobiety lubimy być opiekuńczemi aniołami — to nam pochlebia. Z téj zaś roli przejść do uczucia tak łatwo, tak się mimowolnie i nieznacznie przechodzi... że....

EDMUND.

Że się bynajmniéj nie dziwię, jak pani pokochałaś mimowolnie owego człowieka.

ANIELA.

Tak jest. Ale nawzajem powiedz mi pan, co cię skłoniło do ubiegania się o rękę Cecylii?

EDMUND.

Bądź pani pewna, że nie jéj posag....

ANIELA.

Proszę!

EDMUND.

Jéj posag nie przenosi pani majątku....

ANIELA.

Więc gwałtowna miłość?...

EDMUND.

Pozycya.

ANIELA.

Jéj pozycya?

EDMUND.

Nie, pozycya jéj wsi. Kupiłem, jak pani wiadomo, majątek w sąsiedztwie jéj ojca. Ta okoliczność naprowadziła mię na myśl wcale szczęśliwą. Gdyby Cecylia została moją żoną, oba majątki zlałyby się w jedno. Ziemia w tych okolicach bardzo urodzajna, lasy rozległe, miasto tak blizko. Pomyśl więc pani, na jak wielką skalę można zaprowadzić gospodarstwo. Takich korzyści nie mogłem sobie obiecywać bo majątku pani w odległych stronach położonym. W takich okolicznościach nie będziesz się pani dziwić, że prosiłem o rękę panny Cecylii i niezadługo z się ożenię.

LUDWIK.

(który dosłyszał ostatnie wyrazy, zrywa się z krzesła — n. s.) On żeni się z Cecylią?!... Czy ja dobrze słyszę?...

EDMUND.

Uczyniłem przed panią jak najszczérsze wyznanie.

ANIELA.

Bardzo szczére, w istocie. Porozumienie zatém już nastąpiło. Oboje mamy odtąd wszelką swobodę działania, jak nam się podoba. Żegnam pana. (d. s.) Jak widzę, na téj zamianie wcale nie straciłam.

LUDWIK. (całując ją w rękę)

Bodaj to mieć z rozsądnymi ludźmi do czynienia. (Aniela wychodzi na prawo)

## SCENA X.

LUDWIK. — EDMUND.

LUDWIK.

(przybiegając gwałtownie do Edmunda) Mój panie, czy to jest prawda?...

EDMUND.

Co się panu stało?

LUDWIK.

Ja pytam się, czy to jest prawda!...

EDMUND.

Ale cóż takiego?

LUDWIK.

To co tutaj słyszałem....

EDMUND.

Pan słyszałeś?.. byłeś tu obecny?... To trochę niedyskretnie; należało stuknąć krzesełkiem albo zakaszleć.

LUDWIK.

Odpowiadaj mi pan, czy to prawda!...

EDMUND.

Daruj pan, ale rozmawiałem tutaj o rzeczach tylko mnie samego obchodzących....

LUDWIK.

I mnie także te rzeczy obchodzą!

EDMUND.

Pana?

LUDWIK.

Tak, mnie — i bardzo!... Pan kochasz się w Cecylii?...

EDMUND.

A to to!...

LUDWIK.

Więc to jest prawda?...

EDMUND.

To jest prawda, mój panie, i od czasu mych oświadczyn przestało być tajemnicą dla świata.

LUDWIK.

Wspólnie z jéj ojcem zmuszasz ją pan do oddania sobie ręki?...

EDMUND.

A, to już nie prawda, tego pan nie słyszałeś. Nikt nie zmusza Cecylii, ona to czyni z własnéj woli i chęci.

LUDWIK.

To fałsz!...

EDMUND.

A o tém gdzie pan słyszałeś?

LUDWIK.

Ona mnie kocha!...

EDMUND.

(kiwając głową) Tak?

LUDWIK.

Ja jestem nie godzien téj miłości, ale łzy które wylewała....

EDMUND.

Kto taki?...

LUDWIK.

Cecylia, mówię panu!

EDMUND.

Kiedy?

LUDWIK.

Przed chwilą!

EDMUND.

O co?

LUDWIK.

O co?... O to, że ja jestem zbrodniarzem, żem niewiernością odpłacił jéj uczucie....

EDMUND.

To mię bardzo cieszy.

LUDWIK.

Co pana cieszy?

EDMUND.

Żeś pan niewiernością odpłacił jéj uczucie. Miałżebym pragnąć, abyś pan był wierny mojéj przyszłéj żonie?

LUDWIK.

Panie, pan nadużywasz méj cierpliwości. Ja zdradziłem Cecylią — to prawda, ale ja chcę ten nędzny czyn wynagrodzić, chcę się oczyścić przed światem i przed sobą, ja nie mogę pozwolić, abyś pan się żenił z Cecylią!...

EDMUND.

Mój panie, czyż ja się pana o to pytam!

LUDWIK.

Widzisz pan, ja jestem w uniesieniu, w szaleństwie, ja nie wiem co czynić, aby zmazać z siebie tę hańbę, zetrzeć tę plamę — i dla tego ja pana wyzywam....

EDMUND.

Zastanów się pan, o co? z jakiéj przyczyny?

LUDWIK.

Ja pana chcę zabić albo sam zginąć! ...

EDMUND.

Kochasz pan Cecylią?

LUDWIK.

Nie!.. wszak ją zdradziłem!

EDMUND.

Więc o cóż panu chodzi?

LUDWIK.

O moją hańbę!.. o jéj cierpienie!

EDMUND.

Ale ja panu zaręczam, że ona nic nie cierpi. Pan jesteś zbyt rozgorączkowany. Ja pana pojąć nie mogę. Możeby szklankę wody?...

LUDWIK.

Panie, pan mi urągasz swą zimną krwią, korzystasz z méj nieprzytomności. Tak, ja nie mogę dobrze zmysłów zebrać... wszystko się we mnie pali... ja jestem wściekły... jabym się w sztuki potargał!... Bo ja jestem wielki nikczemnik — wielki!... Ale czekaj pan, ja ci przy zdrowych zmysłach toż samo powtórzę!... Ah, ja nie wiem co się ze mną dzieje! (wybiega drzwiami na ogród)

EDMUND.

Tak, tak — idź pan na świeże powietrze, może cię to wytrzeźwi. Co to za zdrowa logika w téj głowie — ha, ha! (wchodzi p. Kąkolnicki).

(Dok. nast.)

**TEATR**. — *„Anna Oświęcimówna“* — poemat dramatyczny w 5ciu aktach M. B. Antoniewicza. — *„Fałszywi Poczciwcy“* — komedja w 4rech aktach z francuzkiego Teodora Barrière i E. Capendu.

Jako poemat jestto dosyć szczęśliwie napisany utwór — ale na scenie występują wady dramatu, które dosyć jaskrawo rażą w oczy. — Treść sztuki jest następująca: Stanisław Oświęcim wysłany na boje za młodu — wychowany w rzemiośle rycerskim — po kilku latach wraca do osieroconego domu rodzicielskiego — gdzie czeka go siostra, którą on zaledwie ze wspomnień dziecinnych pamięta. Na granicy Odrzykonia, gdzie rzecz się cała dzieje, mieszka stary pielgrzym, u którego Stanisław po raz pierwszy widzi mniemaną siostrę swoją Annę. — Na jéj widok młody rycerz wypieszczony burzą i bojami — jakby wschodem budzącéj się jutrzenki olśniany czuje, że na wieki ukochał Annę — tą miłością, która nie ma rozsądku, nie umie słuchać żadnego głosu prócz serca. Anna tak samo kocha Stanisława od pierwszéj chwili. Po jéj odejściu Stanisław dowiaduje się od pielgrzyma, że pani ta, to jego siostra — ale Anna nie jeszcze nie wié, kto jest ten wspaniały rycerz, którego wymarzyła sobie dawno już i kocha go całą potęgą namiętnéj

miłości. — Tymczasem Łaszcz sąsiad Odrzykonia, człowiek mściwy i namiętny prosi o rękę Anny, która odtrąca go ze wzgardą — lecz tenże niezrażony czeka na przybycie Stanisława, aby go prosić o rękę siostry. Stanisław przybywa wreszcie do domu i poznaje, że pielgrzym prawdę mówił, bo ta kochanka wymarzona, to jego siostra. Kochankowie całéj mocy charakteru potrzebują — aby nie zdradzić przed sobą uczuć świętokradzkich. — Łaszcz oświadcza się Stanisławowi o rękę Anny; lecz Anna odrzuca po raz wtóry ze wzgardą propozycyę Łaszcza.

Całą akcyję dramatu Autor osnuł na zemście Łaszcza, który odgadując uczucia, jakie wiążą brata i siostrę, przysięga pomścić się krwawo — lecz fatalizm staje mu na drodze — i prawie, kiedy ma zamiar swój spełnić i wykraść Annę, uderzony belką w głowę, ponosi karę za zbrodnicze zamiary. — Tymczasem Stanisław przybywa z Rzymu i przynosi sankcyję papieża oraz wyjaśnia Annie, że nie jest jéj bratem, co zresztą wszyscy oprócz niéj wiedzieli, gdyż pielgrzym opowiedział tajemnicę ową szlachcie, szukającéj u niego rady przed napadem na zamek.

Anna słysząc to wszystko — umiera z radości.

Oto jest główna treść dramatu.

Jako poemat liryczny ma on niezaprzeczoną wartość, ale jako sceniczne dzieło nieodpowiada jéj warunkom — brak w nim wybitniejszych charakterów, które podniosłyby akcyję. — Aby panować grozą lub politowaniem nad publicznością — niedosyć jest prostéj deklamacyi — potrzeba, aby zbrodnia wychodziła z tak czarnych czułości, iżby samém pojawieniem się przerazić zdołała lub téż cierpienie samym charakterem swoim wołało o litość. Tutaj Autor pathos dramatu odział pewnym tonem łagodnéj reflekcyi — który nadzwyczaj miły i konieczny jest lecz tylko w liryzmie. Charaktery Anny (Modrzejewska) i Stanisława (Benda) są tak podobne do siebie, tak się zlewają w jedno, jakby uczucie mężczyzny i kobiety z jednéj piersi płynęło — prawie żadnego nie spostrzegamy kontrastu, któryby postawił te dwie postacie w jaśniejszém świetle. Przytém dwie jednoczesne śmierci na scenie, wywołuje nadzwyczaj przykre wrażenie. — Sztuka traci dużo na tém, a uczucie publiczności rozdwojone, nie wié, gdzie skierować swoją uwagę, czy na Łaszcza, który ginie od belki walącego się zamku, czy na Annę, któréj serce pęka z radości. — Dwa te przeciwne uczucia, jakie wywołuje rozwiązanie dramatu — muszą zmodyfikować się reakcyą. Publiczność rozstaje się z bohaterami sztuki chłodno i bez wrażenia wielkiego.... Zdaje nam się, że na scenie dosyć było jednéj śmierci Łaszcza. Boć jeżeli śmierć Anny ma być nauką, którą mają odnieść słuchacze — to nie rozumiemy inaczéj, jak w stosunku do Stanisława, za zwątpienie w chwili szału i rozpaczy w powolność Rzymu. Jeżeli tak, to sztuka nie byłaby nie straciła na tém, gdyby mniéj było jednego trupa na scenie.

A teraz słówko o grze artystów.

P. Modrzejewska w roli Anny zdaje nam się dościgła zenitu swego talentu. Sympatyczną tę postać oddała z całém mistrzostwem i znajomością sztuki — zawsze pewna siebie umiała panować nad słuchaczami. Bukiet, który jéj ofiarował autor, jest zasłużoném uznaniem ogółu. — Pan Benda obok p. Modrzejewskiéj wydaje się tutaj słabszym nad rzeczywiste jego zdolności — nie umiał zupełnie pogodzić charakteru kochanka i rycerza — jest on zanadto jednostajnym, nawet do tego stopnia, że słabą i tak postać Stanisława zmodyfikował do rzędu płaczliwych mazgai. — A przecież to rycerz walczy z namiętnością a nie kobieta!... Widocznie nie tutaj było pole dla talentu p. Bendy — gdy tymczasem w komedyi wyższéj p. B. — zupełnie wywięzuje się z zadania. — Liryczne i patetyczne sceny w dramacie nie są widocznie dla niego. — Pan Rapacki Łaszcza grał znakomicie, chociaż odważylibyśmy się zrobić małą uwagę naszemu ulubionemu artyście. Bardzo wiele pracować on powinien nad wyrobieniem swojego głosu, któremu często brak właściwéj giętkości, ile razy przyjdzie spotkać się artyście z Szekspirem. Chropowatość taka razi nieraz dosyć dotkliwie — a w dramatach Szekspira jest zawsze dysonansem i psuje całość. — Grze pana Wolskiego brakowało właściwego charakteru — spokój pustelnika w deklamacyi jest dobry — ale chłód jest nienaturalny; zato p. Wolański obraz wojny oddeklamował zupełnie dobrze.

Z porządku rzeczy wypada nam pomówić coś o „Fałszywych poczciwcach“. — Treść komedyi jest dobrze znaną publiczności, bo dosyć często spotyka się z nią w teatrze, dla tego powiemy tylko o saméj grze artystów.

Pan Rapacki z roli Peponeta, zbogaconego przemysłowca, któremu na starość przyszła chęć spekulować en gros i grać na giełdzie — wywiązał się zupełnie.— Pan Benda w roli Edgara był lekkim, dowcipnym i sarkastycznym, jak tego chce charakter artysty malującego społeczeństwo w karykaturach. Najchętniéj widzimy pana Bendę w rolach podobnych — gdzie nie trzeba być ani sentymentalnym, ani wzniosłym.

Pan Nowakowski (Dufuré) wstępnym bojem zajął miejsce obok p. Rapackiego na naszéj scenie — w operetce: „Mąż za drzwiami“ w roli Izydora jest prawdziwym sowiźrałem, co po kominach ucieka przed komornikiem — pełen humoru i swobody — a w „Fałszywych poczciwcach“ jest niezgrabnym i komicznym. — Często, jakeśmy to spostrzegli, p. N. posługuje się na scenie własnym dowcipem — jestto rzecz arcy zabawna, dopóki nie podrażni kogo zanadto.

Z artystek p. Bauman (Eugenia) doskonale wyglądała jako dziewczyna kapryśna i zepsuta trochę zbytkiem. — W grze panny Śliwińskiéj zanadto było w niektórych miejscach wesołości i humoru. *D.*

**Kronika.** Szlichtada. — Bal akademicki i przygody kronikarza z morfeuszem. — Muza. — Reduta i dowcip szampański. — Sybiracy.

Puszczam się teraz w drogę za nowinami i ploteczkami, które razem z ludźmi wirują w karnawałowym szale. Wśród zawieruchy i mrozu, gorzki jak piołuny mój chumor kronikarski, napotkawszy na drodze sanki, szepnął mi do ucha coś o szlichtadzie. A znasz ty krakowskie zapusty? — pomyślałem sobie i jednym skokiem byłem już w sankach.

Ach, co to za miła rozkosz sunąć tak po śniegu białym jak puchy łabędzie. Jeśliś mój kochany czytelniku poetą lub dziennikarzem — to zamknij wtenczas oczy i słuchaj tego metalicznego szczebiotania dzwonków — a uczujesz, że ci coś w sercu łaskocze. Imaginacyja poleci z tobą gdzieś aż w stepy puszcz sybirskich. — Będziesz pędził jak huragan, mijając po drodze słupy wiorstowe. Chyba, żeś najął sanki na godzinę i niepoczciwy woźnica zbudzi cię z tych snów ułudnych pytaniem: „panie — a gdzie mam zajechać?“ — To sprawia takie samo wrażenie, jak kiedy w drodze do twojéj niebogiéj, zastąpi ci jaki wierzyciel i spyta, kiedy mu oddasz jego guldeny — a ty przy duszy nic nie masz prócz zasuszonéj róży — pamiątki z ostatniego balu.

Otóż wypadło mi z pióra słowo, które jest hasłem dzisiejszéj chwili. — Bal. — Rad nie rad zsiadaj z sanek mój kronikarzu i bierz za pióro, aby czynić twoją powinność. — Nolens volens wdziawszy frak i białe rękawiczki, wyszedłem po raz drugi z domu — szukać gwaru i muzyki. Nogi same zaprowadziły mnie na salon hotelu Saskiego — grano walca!... Chcecie wiedzieć jakie wrażenie na mnie zrobiło kilkadziesiąt kręcących się postaci? — bardzo przyjemne. Zdawało mi się, że wykrojone figurki z karnawałowych żurnali, jakaś czarodziejska siła na chwilę udarowała życiem — i że cały ten świat kręcący się — to coś niby żyjący „Moden-Zeitung“... Zagapiony tak przyjemnie w lalki, anim się spostrzegł, jak potoki szalonych tonów Strausowego walca napływając w moje kronikarskie serce — miękkie na podobne rzeczy jak wosk, który gnie się pod palcem — rozbudziły uśpionego ducha. — Jak to było, nie wiem — lecz zakręcony w jakiś ogon balowéj sukni — po małéj chwili spostrzegłem, że moje nogi ruszają się i że najrealniéj walcują z wszystkimi. — Jednakże i tutaj los nie pozwalał mi wychylić aż do dna tego kieliszka pełnego... muzyki i paczuli balowéj. — Walc skończył się — a polka, kontredans — nie mają już dla mnie żadnego uroku. Przez cały czas siedziałem więc spokojnie zaciśnięty w kącik — notując sobie zapiski do szkiców karnawałowych. I przyznać się wam muszę, że bawiąc się tak przyjemnie, zasnąłem jakoś niechcący. Przez sen walcowałem z piękną Marylką wśród chmur i obłoków śnieżystych — a . alca grał nam Eol na szklannéj swojéj harfie. I śnić tak musiałem dosyć długo, bo kiedym się zbudził, dzień był jasny — a zegar bił ósmą godzinę. Na sali leżało kiika falbanek z białéj gazy — sztucznych Parę kwiatów i coś tam zapewne z podeptanych westchnień.

A działo się to na balu Akademików 13 Stycznia, który, jak wszyscy mówią a ja z wszystkimi, udał się najkompletniéj — gdyż w końcu zapisano podobno jako plus dosyć okrągłą sumkę. — Za którą przybędzie krajowi choć jeden uczony doktór.

Muza, która nigdy nie umiała zyskać sobie serduszek pięknych cór Krakusa — nieszczęśliwie wybrała się z balem. Ciężkie czasy! moi panowie — kraj wspierając doktorów, przynajmniéj zabezpiecza się od śmierci — a co najmniéj, od cholery na przyszłe lato. Z was pożytek mały. Cóż z tego, że tam jakiś Chopin lub Kątccy budzili ospałych do życia — kto tam dziś słucha muzyki! — Zresztą, jeśli nam w popielcowe wieczory dacie koncert w resursie mieszczańskiéj, przyjdziemy słuchać was niezawodnie — bo to gratis. Tylko niech z was żaden nie marzy, aby wyjechał za granicę kosztem kraju — na to trzebaby dać dużo pieniędzy — a tu ciężkie czasy, grosz tak drogi!... Lecz to chyba być musi bajką owa drożyzna — bo reduty świetne są — dowcip szampański a uprzejmość masek wcale nieżenująca! — Kronika ma się już ku końcowi — a tutaj zapowiedziany bal techników, bal na bibliotekę akademicką i odezwa Sybiraków wracających do kraju. Przeczytajcie ją — a jeśli zbędzie wam jakie grosiwo piękne i dobrego serca Czytelniczki, to macie tam adres — gdzie go posłać. Mniéj jakie świecidełko u waszéj sukni — pół łokcia zaoszczędzonego atłasu lub koronki na ogon do niéj — a oto i dusza wasza będzie miała karnawał. — Wprawdzie ci nieszczęśliwi, co odzywają się do was bezpośrednio — ja nie wiem czy mam prawo przemówić co za nimi — ale ich los to także balowe zaproszenie na współudział w niedoli. — Czytajcież więc same, jak oni między sobą się bawią.

Odezwa. Wiadomość o powracających ze Syberyi kilkuset naszych rodakach, o okropnym stanie, w jakim się ci nieszczęśliwi znajdują, spowodowała nas, że w imię téj solidarności, która nas łączyła na wygnaniu, w imię wspólnéj przeszłości, wzywamy was koledzy do niesienia pomocy wracającym ze Syberyi.

Że przy wstępie na rodzinną ziemię koniecznie trzeba im przybyć z pomocą pieniężną, o têm koledzy jesteście mocno przekonani, z waszego własnego doświadczenia! bo któż z was zapomniał o owéj nędzy na wygnaniu, o owych zdzierstwach po więzieniach, doprowadzanych do tego stopnia, że każdy więzień ze Syberyi wraca na ziemię rodzinną pozbawiony środków do życia.

Pomoc dana naszym własnym braciom przez nas samych, zasłaniając ich od wyrzutów niesłusznych, ułatwi im dostanie się do domów rodzinnych, a niektórym zapewni na krótki czas zaspokojenie niezbędnych potrzeb do życia, póki nie znajdą zajęcia dającego możność istnienia o własnych siłach.

Polegając więc koledzy na waszéj szlachetności, na zrozumianym przez was obowiązku wspierania towarzyszy wspólnych nieszczęść i zasad, spodziewamy się, że dobrowolnie z waszych własnych funduszów ofiarujecie stały podatek na wspieranie powracających ze Syberyi.

W myśl tego świętego długu ciążącego na nas, zobowiązaliśmy się, będący we Lwowie, do stałych miesięcznych wkładek przez cały rok na rzecz powracających kolegów.

Zważywszy jednak, że te fundusze będą nadzwyczaj szczupłe stosunkowo do potrzeb, że nie godzi się nikogo z wygnańców wróconych do ojczyzny odsuwać od wspólnych obowiązków, więc wzywamy was koledzy na prowincyi do współudziału w niesieniu pomocy wracającym ze Syberyi.

Zapraszamy was koledzy w imieniu bratniéj miłości do ulżenia niedoli naszych współbraci, bo tego wymaga naszych wracających kolegów honor, nie pozwalający zniżać się do żebraniny ludziom, którzy walczyli za niepodległość narodową.

Tém postępowaniem zadamy fałsz rozsiewanym oszczerstwom, jakobyśmy żądali emerytury za służenie sprawie krajowéj.

Ofiarowany grosz przez was kolędzy na powracających naszych braci przesyłajcie na ręce redakcyi „Dziennika Lwowskiego", która z upoważnionymi przez nas kolegami: Konstantym Michlewskim, Mieczysławem Szymberskim i Janem Mittigiem będzie w bezpośredniéj styczności.

Prosimy o umieszczenie téj odezwy we wszystkich pismach polskich.

Władysław Sinkiewicz, Jan Mittig, Konstanty Michlewski, Baltazar Cieszkiewicz, Józef Szyjkowski, A. Zagórski, Stanisław Chrząszczewski, Marceli Barliński, Bronisław Bielecki, Józef Palester, Franciszek Renner, Ferdynand Szefel, Antoni Wężowicz, Józef Gawrylak, Mieczysław Szymberski, Karol Pawłowski, Piotr Bielecki.

## Mody na luty.

### *Opis ryciny.*

**Strój domowy**. Suknia z wełnianego rypsu w kolorze ciemnopąsowym. Spodnica ułożona w tyle w bufy, w guście, jak je robiono za czasów Ludwika XV. Górna część spodnicy ułożona z pięciu buf, obszyta dołem koronkową frandzlą i fontaziami ze wstążki w kolorze sukni, podpięta. Takaż frandzla przyszyta do wskośnego paska obszyta około ramion na staniku.

**Strój balowy**. Gładka suknia tiulowa naszyta siedm razy falbankami z tiulu białego, lamowanemi zielonym atlasem, z przodu spada od stanu na dół bufa tiulowa na trzy falbanki, przyszyte w kształcie fartuszka w okrąg. Stanik zielony atlasowy zakończony w tył spadającym fartuszkiem zielonym obszytym białą koronką. Przez wycięcie tegoż fartuszka przeciągnięta bufa tiulowa, na którą spadają dwie gałęzie akacyi białéj. Na bufie umieszczone małe gałązki akacyi, stan około gorsu ubrany bertą z białego tiulu.

### *Opis mód.*

Najświeższéj mody suknie balowe polecamy Sz. Czytelniczkom:

**Suknia błękitna tarlatanowa**, krepowa, lub gazowa, ułożona w bufy od dołu do góry na gładkiéj z takiejże materyi co i bufy spodnicy, na dole w odstępie dwóch buf przyszyta szeroka falbana, spadająca równo z krajem sukni i zakończona garnirunkim błękitnym atlasowym. Na tak gotową suknię spada gładka tarlatanowa, obszyta dołem koronką białą i niebieskim garnirunkiem. Suknia ta jest krajana tak długa w tyle jak z przodu i nie przyszyta do paska lecz ułożona w głęboki podwójny fałd i podniesiona od boczków stanika do góry t. j. do wycięcia plec zkąd ten fałd spada przez plecy na dół a „Watteau" przez co tył sukni robionéj w bufy jest do połowy widoczny.

Druga suknia różowa tarlatanowa gładka, od dołu szeroka koronkowa falbana zakończona rulonem atłasowym, na który spada druga takaż sama falbana, zakończona dużą bufą spadającą od pasa aż do falbany. Ta bufa jest tylko w tyle — z przodu są od stanu aż do dolnéj falbany trzy fartuszki okrągłe, obszyte koronką i rulonami z atłasu, wychodzące jeden z pod drugiego, górny fartuszek schodzi się w tyle i zakończony atlasową rozetą.

Głowy czeszą dotychczas bardzo wysoko w tyle lecz nie wysoko z przodu, do tańca nie przypinają wcale długich loków. Do ubrania głowy najmodniejsze są perły woskowe białe i róże białe, różowe lub thee, wiszące na gałązkach z pereł.

Inne jeszcze suknie robią z podwójnéj materyi lub tarlatanu. Z jednego koloru spodnica garnirowana bufami lub falbanami.— z drugiego stan i spodnica spadająca na pierwszą i podpinana kwiatami lub fontaziami. Najmodniejsze kolory karnawałowe są: różowy i niebieski, zato złoto i srebro na sukniach zupełnie zarzucone zostały.

### *Opis krojów.*

Koszulka mulowa.

Fig. 1. Przód. }
Fig. 2. Plecy. } * * * * *

Fig. 3. Rękaw — — — — —

Z przeznaczonego mulu kraje się przody, plecy i rękaw i podług oznaczonych głosek ze sobą łączy.

**Kapturek mulowy**.

Fig. 4. Krój kapturka oo—oo—oo—oo—. Ukrojony kapturek łączy się podług głosek A. B., obszywa się wstawką i koronką krajem i do koszulki mulowéj około szyi przyszywa.

**Półkoszulek i rękawek z mulu**.

Fig. 5. Przód. }
Fig. 6. Plecy. } × • × • × • × •

Fig. 7. Rękaw. — — — — — —

Ukrojony przód i plecy zeszywa się ze sobą i około szyi obszywa koronką, dolna część rękawa szyje się osobno i stębnem do rękawa przyszywa, formując mankiet.

**Kolnierz „Raphael"**.

Fig. 8. • — • — • — • Kołnierzyk ten kraje się z mulu i przeszywa w drobne zakładki, krajem zakończony wstawką i koronką.

**Fartuszek mulowy**.

Fig. 9. Krój fartuszka • • • • • • • • • • Robi się go z mulu i podług gustu garniruje.

**Kapturek dla dziewczynki**.

Fig. 10. Połowa kapturka }
Fig. 11. Połowa pelerynki } o o o o o o o o

Ukrojony kapturek i pelerynka watuje się cienko i podszywa, robi się wyszytką od gwiazdki do E. na kapturku. Kapturek przeszywa się od B. do C. i D. i od A. do B. z pelerynką łączy, naokoło kapturka i pelerynki krajem przyszywa się warkocz z szkockiego atłasu. W tyle pelerynka złożona w kilka fałdów przybranych w szkockie fontazie.

**Katanka dla chłopczyka**.

Fig. 12. Przód }
Fig. 13. Plecy }
Fig. 14. Rękaw } × — × — × — × —
Fig. 15. Kołnierzyk }

Wszystkie części krają się z kortu i podług głosek zeszywają się kieszenie, lamują się taśmą, jakoteż cała katanka, kołnierzyk przyszywa się stojąco i taśmą lamuje.

**Ubranie dla chłopca**.

**Żakiet**. Fig. 16. Przód }
Fig. 17. Plecy } * * * * * *

Fig. 18. Rękaw • • • • • •

Plecy krają się w całości, lewy przód podchodzi pod spód, prawy zachodzi końcem na niego po zeszyciu osobnych części wszywają się rękawy oblamowane i obszyte guzikami. Żakiet jest tak samo obszyty i na haftki z przodu zapięty.

**Spodnie** Fig. 19. }
Fig. 20. Pasek } — — — — —

Fig. 21. Przód do stanika
Fig. 22. Plecy do stanika

Ukrojone spodnie zeszywają się od J. do K. dołem obrąbione i naciągnięte gumową tasiemką tak zeszyte obydwie części zeszywają się od L. do K. i od N. do gwiazdki, od gwiazdki do K. pozostają nie zeszyte, tylko kraje otworu podszywają się paskiem perkalowym. Po bokach spodni rozciągają się rozporki, do przodniéj strony przyszywa się kieszeń, do tylnéj podszewka z perkalu, pasek zrobiony z perkalową podszewką jest po bokach rozcięty i na guziki zapięty, do przedniéj części paska przyszywa się przód spodni tj. od M. do N., do tylnéj części tył od L. do M. Cztery dziurki w pasku z tyłu zapinają się na guziki przyszyte na staniku w tyle, przód stanika jest przyszyty do spodni.

**Sukienka do noszenia dziecka.**

Fig. 23. Przód. Fig. 26. Obojczyk do plec.
Fig. 24. Bok. Fig. 27. Rękaw spodni.
Fig. 24. Połowa plec. Fig. 28. Rękaw wierzchni.

Wszystkie części krają się z tybetu i podszywają muślinem, plecy są zebrane w fałdy i do obojczyka przyszyte, na szwie położony pasek z tybetu wskośnego z wypustkami, który służy jako ozdoba płaszczyka czyli sukienki. Rękawy wszywają się do pachy i stósownie przyozdabiają.

**Żakiet „Guillaume".**

Fig. 29. Przód. Fig. 31. Rękaw.
Fig. 30. Plecy. Fig. 32. Kołnierzyk.

Po ukrojeniu wszystkich części z korciku robią się wszytki w przodach, a wreszcie wszystkie części podług oznaczonych głosek ze sobą się łączą. Tak zeszyte ubranie podszywa się krajem wązką tasiemką lub materyją wskośną. Ozdobić go można podług gustu.

**Przykrywka na szkło u lampy.**

Fig. 33. krój na przykrywkę.

Na odpowiedniéj wielkości przykrywce z pudełeczka kartonowego, przyszywa się kilkoma ściegami podług Fig. 33, ukrojony kawałek pąsowéj flanelki i wyszyty na środku w jaki mały bukiecik paciorkami złotemi, na kraju obszywa się złotemi paciorkami i kutasikami paciorkowemi, które zęby na dół obciągają.

---

α. δ. Nadesłane. — **Czarna Księga** 1863 — 1868 przez Autora powieści o „Horożanie". Kraków. — Nakładem *St. Gralichowskiego*. — I oto nowa cegła do pomnika, jaki buduje się od lat niepamiętnych dla Rosyi! — Autor w Czarnéj swojéj Księdze rzuca nam przed oczy ten świat lodowéj strefy — nieznany dla całéj prawie Europy — wypuszczony z uwagi polityków dzisiejszych, gdzie przecież tak straszne odgrywają się dramata, pełne sromotnéj ohydy. Od pierwszéj do ostatniéj kartki nie wyczytasz nic innego, jak tylko summaryczny spis zbrodni i zbrodni samych. Czytając to wszystko — głos ci zastyga w piersi — i musisz zawołać mimo woli: „Panie — litości dla nas!"

O formie opowiadania nic mówić nie będziemy — znane są dobrze publiczności prace pana Czaplickiego. — Maluje on obrazy te czarne, piórem lekkiém — nie ma tam przecie ani czczéj frazeologii, ani rzucań się bezsilnych na wroga. — Powaga i prawda, jaka wieje ze słów opowiadania, każe nam wierzyć — że to są naoczne fakta.

Co do wydania samego jest ono bardzo staranne — druk wyraźny — korrekta dobra — a cieszy nas to niemało, ile razy możemy coś podobnego zapisać — nie uciekając się do zagranicy.

*** W Bochni w biurze Rady powiatowéj wystawiony jest na cel dobroczynny nieznany dotąd obraz p. J. Matejki, malowany w roku 1867, a poświęcony pamięci księdza Stan. Gebułtowskiego — którego utwory drukowane były w „Kalinie". Obraz ten przedstawia **Wskrzeszenie Łazarza**. Na głównym planie stoi Chrystus, obok Niego grupy płaczących wiernych i zakłopotanych faryzeuszów, a na dole Łazarz. Nie ma w obrazie nowości kompozycyi, bo tego widać artysta nie chciał — ale obok świeżości kolorytu, po któréj poznać zaraz Matejkę, bije z obrazu uroczystość — powaga i ewanieliczna prostota. Obraz ten ofiarował artysta do kaplicy w Wiśniczu.

*** Niezadługo w Krakowie ma się ukazać parę pism nowych jako to: „**Kraj**", któréj skład Redakcyi jest bardzo liczny — pismo to posiada wszystkie warunki trwałego bytu. Oraz pisemko dla wieku dziecinnego, pod Redakcyją p. Wł. Bełzy. Młody Redaktor tak miłą zyskawszy sobie sympatyję w gronie naszém — jako poeta dał się już poznać publiczności tutejszéj utworami pełnemi szlachetnéj myśli i dążności. — My nic na to powiedzieć nie możemy prócz polskiego — Szczęść Boże!

*** Zalecamy rodzicom, nauczycielom i osobom zajmującym się wychowaniem, oraz kształceniem młodzieży obojéj płci, świeżo wyszłą z druku w Krakowie książkę p. t.: „Wykład nauki moralności dla młodzieży katolickiéj" — zastosowany do użytku szkół publicznych męzkich i żeńskich, oraz wszelkich zakładów naukowych — przez księdza Józefa Szpaderskiego, b. Profesora b. Akademii Duchownéj rzymsko-katolickiéj w Warszawie, aktora wielu dzieł religijnéj treści.

Znamy dostatecznie pisma ks. Józefa Szpaderskiego, zdaniem więc naszém, jako dzieło pomocnicze Wykład nauki moralności przyniesie wiele korzyści nawet duchownym nauczycielom religii.

## Korespondencja „Kaliny".

P. **E. Zgrzędzie**. Rękopism włożyliśmy tymczasem do teki — późniéj może zrobimy użytek.

P. **Zenonowi** z Tarnowa. Poezyje pańskie prześliczne — lecz zdaje nam się, że lepiéj jeszcze wszystkie Ach — i wykrzykniki wydadzą się, gdy je pan osobiście przed ideałem powtórzysz — tylko pamiętaj pan, by na to patrzał księżyc blado-biały i gwiazdy żółto-złote.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski*.

**Prenumerata miejscowa „Kaliny"** wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
**Z przesełką pocztową:** rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
**Prenumerata zagraniczna:** bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
**Mody** i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
**W Krakowie prenumerować** można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu" księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
**Reklamacje nieopieczętowane** nie opłaca się.
**Inseraty** (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.